

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2021, nr 2



Wielbimy Cię, najświętszy Panie Jezu Chryste, tu i we wszystkich kościołach Twoich, które są na całym świecie, i błogosławimy Tobie, żeś przez święty krzyż Twój świat odkupić raczył.

Św. Franciszek z Asyżu



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Minęło pół roku od ukazania się poprzedniego numeru Biuletynu Misyjnego. Od tego czasu miało miejsce wiele wydarzeń związanych z naszymi misjami kapucyńskimi. Wspomnę najważniejsze z nich, pomimo tego, że niektórzy z Was otrzymali już te wiadomości, gdyż były zawarte w comiesięcznym liście kierowanym do Darczyńców.

W połowie kwietnia został zabity prezydent Republiki Czadu Idriss Deby Itno, który rządził tym krajem od 1990 roku. Według oficjalnego raportu został zastrzelony przez rebeliantów, ale krąży opinia, że został usunięty przez kogoś ze swojego otoczenia. Jak do tej pory nie wyjaśniono dokładnie kto dokonał zamachu na Prezydenta. Po jego śmierci było trochę zamieszania w kraju, lecz teraz pod rządami jego syna generała Mahamata Kaka Itno panuje względny spokój.

Bracia misjonarze oprócz zadań duszpasterskich związanych z pracą parafialną nieustannie pomagają w edukacji dzieci i młodzieży, przychodzą z pomocą chorym i najbardziej potrzebującym żywności, kupując leki, a czasami płacąc za konieczne operacje. Realizują też projekty budowlane takie jak: budowa świetlicy środowiskowej w Bocaranga, rozbudowa laboratorium w szpitalu w Ngaoundaye. Prowadzą też remonty kaplic, szkół i pawilonów szpitala i dbają o ich wyposażenie. Misjonarze z Czadu w pierwszych miesiącach roku wywiercili 5 studni w dwóch parafiach: Baibokoum i Bam, gdzie ludzie cierpieli z powodu braku czystej wody.



Poświęcenie studni w Baikoro, Czad przez br. Zenona Kapkę

Otwarcie misji w Sudanie Południowym jest cały czas w fazie projektu. W maju Minister generalny wysłał sekretarza generalnego ds. misji br. Mario Osvaldo, Brazylijczyka, do Sudanu Południowego, aby naocznie mógł poznać sytuację Kościoła w tym kraju i zobaczyć miejscowość, którą lokalny biskup proponuje nam na miejsce placówki misyjnej. W tej dwutygodniowej podróży towarzyszył mu br. Robert Wieczorek. W lipcu dowiedzieliśmy się, że decyzja o otwarciu

misji w Sudanie Południowym przez kapucynów z Prowincji Krakowskiej zostanie podjęta podczas wrześniowej sesji zarządu generalnego Zakonu. Niestety do tej pory nie mamy oficjalnego pisma w tej sprawie.

W tym roku przyjechało do Polski na urlop pięciu misjonarzy. Z Czadu: Zenon Kapka, Piotr Walocha i Paweł Kubiak oraz z Republiki Środkowoafrykańskiej: Andrzej Barszcz i Benedykt Pączka. Wraz z tymi ostatnimi przyleciało do Polski trzech najzdolniejszych, młodych Afrykańczyków ze szkoły muzycznej prowadzonej przez br. Benedykta. W czasie trzymiesięcznego pobytu w Polsce mieli zorganizowane warsztaty muzyczne i koncertowali w pięćdziesięciu miejscowościach całej Polski. Środki zebrane podczas koncertów i niedziel misyjnych zostaną przeznaczone na dokończenie budowy szkoły muzycznej w Bouar. Sekretariat Misyjny przeprowadził z misjonarzami animację misyjną w kilkunastu parafiach.

W czerwcu ukazała się już czwarta książka br. Roberta Wieczorka pt. „EKG serca Afryki”. Krótki fragment tej książki drukujemy w tym numerze Biuletynu. Zapraszamy też do nabycia tej książki w naszym sklepie internetowym www.sklep.kapucyni.pl.

Pragnę podzielić się z Wami wiadomością, że 28 lipca w Pałacu Prezydenckim odbyła się uroczystość, podczas której Sekretarz Stanu w Kancelarii Prezydenta RP Andrzej Dera w imieniu Prezydenta RP wręczył order i odznaczenia państwowe przyznane osobom zasłużonym w służbie państwu i społeczeństwu. Wśród odznaczonych Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na rzecz osób potrzebujących pomocy i wsparcia znaleźli się bracia: Robert Wieczorek i Robert Wnuk pracujący na misjach w Afryce. Odznaczenia przyznano przeszło dwa lata temu, jednak dopiero teraz bracia mogli zostać nimi uhonorowani.

Jak co roku zapraszamy Was do przysyłania nam imion zmarłych, których będziemy polecać Panu Bogu w modlitwie różańcowej. W listopadzie misjonarz br. Andrzej Barszcz wraz z braćmi nowicjuszami, których w tym roku jest trzynastu, będzie odmawiał różaniec wypominkowy i raz w tygodniu sprawował Mszę św. za polecanych zmarłych. Do Biuletynu załączamy kartkę wypominkową. Jednak bardzo prosimy, jeśli to możliwe, o przysyłanie imion zmarłych drogą elektroniczną. Ułatwi nam to wysłanie list z imionami do Afryki.

Wszystkich Czytelników naszego pisma jak również Darczyńców misji kapucyńskich polecam w modlitwie Panu Bogu przez wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny, św. Józefa oraz św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki misji Kościoła katolickiego.

Niech Pan Wam błogosławi i prowadzi Was drogami świętości.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha z Bam w Czadzie

W Polsce już od miesiąca dzieci i młodzież uczęszczają do szkół. W Czadzie natomiast, dopiero od 1 października uczniowie rozpoczną naukę szkolną. Obecnie w naszej szkole katolickiej w Bam trwają prace przygotowawcze do przyjęcia dzieci, które już za kilka dni zaczną nowy rok szkolny.

W naszej pracy misyjnej staramy się uwrażliwiać rodziców na wielką rolę, jaką odgrywa szkoła w wychowaniu dzieci i młodzieży. W naszej diecezji każda parafia posiada podstawową szkołę katolicką oraz gimnazjum.

W kulturze afrykańskiej, w formacji drugiego człowieka, swoje zadanie spełniają również przysłowia. Rodzice i nauczyciele w szkole chętnie posługują się przysłowiami, które z reguły zawierają jakiś sens moralny i są sformułowane w formie przestrogi czy pouczenia. W Afryce, przysłowia odgrywają ważną rolę wychowawczą młodego pokolenia.

W niniejszym artykule przedstawię trzy kolejne przysłowia:

„Dew ge toge deji ne de keme”

Dew ge toge – starszy człowiek

deji – pytać, żebrać

ne – rzecz

de – z

keme – oczy

Tłumaczenie: „Starzec żebra oczami”.

W Afryce starszy człowiek, z powodu swojego wieku i doświadczenia, zasługuje na szacunek. Dlatego nie może on żebrać, gdyż w przypadku odmowy, będzie mu wstyd i utraci swoją godność. Dlatego woli zachować milczenie i czekać cierpliwie, aż ktoś da mu to, czego potrzebuje.

Przykład: Pewnego dnia starszy człowiek siedzi w swej wiosce pod drzewem. Pod tym samym drzewem siada dwóch młodzieńców wracających z pola, którzy zaczynają jeść orzeszki ziemne. Starzec jest bardzo głodny, ale nie ma odwagi, ze względu na swój wiek, poprosić młodych ludzi, aby podzielili się z nimi orzeszkami. Przechodząca obok kobieta zwraca się do młodzieńców: „Nie widzicie, że ten starszy człowiek jest głodny, dlaczego nie podzielicie się z nim waszymi orzeszkami?”.

I cytuje im przysłowie: „Starzec żebra oczami”. Młodzieńcy przepraszają i dzielą się orzeszkami ze starszym człowiekiem, który zjada je z wdzięcznością.

„Gode tai de gode goli ba a tuji el”

Gode- ślad

tai – usta

goli – nogi

tuji – zatrzec

el – nie

Tłumaczenie: „Ślady pozostawione przez twoje nogi (buty) szybko znikną (zatrą się), ale ślady spowodowane twoim językiem nie znikną nigdy.”

Morał: Kiedy obiecujesz coś drugiemu człowiekowi, należy dotrzymać swojego słowa.

„Do tar to unda do ninga”

Do – rana

tar – słowo

unda – przewyższać

ninga – włóczyć

Tłumaczenie: „Rana zadana przez słowo jest bardziej bolesna, niż rana zadana włócznią”.

Morał: Ranę zadaną włócznią można wyleczyć, ale niewłaściwe słowo pozostawia ranę w sercu, której nie da się uleczyć.

Życzę wszystkim rodzicom i nauczycielom cierpliwości i owoców w pracy wychowawczej dzieci i młodzieży.

Z pozdrowieniami i darem modlitwy z Czadu
br. Piotr Walocha





Parafia Cocobeach

pisze br. Piotr Michalik OFM Cap

Gdy w 2010 roku byłem po raz pierwszy w Gabonie z krótką wizytą braterską, tutejsza rzeczywistość mnie zafascynowała, a malutka misja w Cocobeach wręcz oczarowała. Nawet w najśmielszych marzeniach nie mogłem wtedy przypuszczać, że dziesięć lat później będę tam misjonarzem. A jednak! Jestem tu już od 6 miesięcy, odkrywam region i przede wszystkim poznaję tutejszych ludzi i żyję z nimi. Ich sprawy, smutki i radości coraz bardziej dotykają mojego serca (aż czasami zasnąć od tego nie mogę...). Chciałbym Wam przedstawić parafię Matki Bożej Miłosiernej w Cocobeach.

Bracia Mniejsi Kapucyni są obecni w Gabonie od niedawna. W 2000 roku przyjechali tu nasi misjonarze z Prowincji Warszawskiej. Obecnie pracujemy na czterech misjach w miejscowościach Melen, Essassa, Ntoun i Cocobeach. Dwie pierwsze znajdują się w aglomeracji stolicy kraju Libreville (Melen, Essassa), a trzecia w jej bezpośrednim sąsiedztwie (Ntoun). Są one stosunkowo duże i dynamiczne. Rozwijają się dzięki migracji ludności z terenów wiejskich. Natomiast Cocobeach jest dosyć oddalone od stolicy (120 km), a droga doń prowadząca jest w bardzo złym stanie. Dlatego ludzie nie ściągają tu tłumnie, wręcz przeciwnie, wielu wyprowadza się do Libreville. Ludzie wyjeżdżają, aby znaleźć pracę, pójść do szkoły albo po prostu poszukać lepszego życia. Jest też migracja w odwrotną stronę – ze stolicy do naszych wiosek. Ta przeważnie dotyczy funkcjonariuszy państwowych, którzy po przejściu na emeryturę wracają na ojcowiznę. Łatwo sobie wyobrazić, że na wioskach średnia wieku mieszkańców jest dosyć wysoka...

Cocobeach jest niewielkim miasteczkiem, liczącym niecałe 3 000 mieszkańców. Wioski to z kolei małe osady rodzinne porzucane wzdłuż drogi. Podróżując, od czasu do czasu spotyka się kilka chatynek zbitych z desek, przycupniętych pod liśćmi bananowców lub schowanych w cieniu potężnych drzew lasu tropikalnego. O wiele rzadziej pojawi się piękna dacha jakiegoś eks-ministra... Wioski w naszym pojęciu, czyli wiele domów skupionych w jednym miejscu, są tu rzadkością. Efekt jest taki, że nasze wspólnoty katolickie w wioskach są kameralne, malutkie. Zdarzało się, że na niedzielnej Mszy świętej było mniej niż dziesięciu wiernych. Czy to rozsądne, że jestem tutaj dla tak małej liczby wiernych? Jezus kiedyś opowiedział przypowieść o pasterzu, który pozostawił stado, by poszukiwać jednej jedynej, zagubionej owieczki... Poza tym myślę, że nie będę sądzony z tego, do jak wielkich tłumów przemawiałem, tylko ile było miłości w tym, co robiłem.

Jak na tak małą miejscowość, Cocobeach ma sporo szkół: dwie podstawowe (katolicka i publiczna) oraz gimnazjum

i liceum. I naprawdę jest się kim zająć. Na szczęście część nauczycieli jest świadoma roli wiary w formacji uczniów i niekiedy sami dopominają się o Mszę świętą dla dzieci i młodzieży, o rekolekcje czy katechizację. Zdarzało mi się, że nauczycielka podesłała mi jedną czy drugą osobę na rozmowę. Praca z uczniami daje dużo radości, ale wymaga też wielu starań. Na owoce trzeba niekiedy długo czekać, a i zdarza się zasmakować gorzkiej porażki. A propos uczniów – kiedyś pojechałem nad brzeg oceanu, by wziąć trochę piasku, bo przygotowywaliśmy beton na budowie. Miałem okazję obserwować licealistów, którzy kilkadziesiąt metrów obok mieli na plaży lekcję WF... „Takim to dobrze”, pomyślałem.

Ponieważ moja parafia jest mała, łatwiej uniknąć tego, co grozi wielkim parafiom – anonimowości. Oczywiście nie znam jeszcze osobiście wszystkich parafian, ale rozpoznaję coraz więcej twarzy. Często ludzie przychodzą do mnie nie tylko po to, by prosić o pomoc materialną, ale by przedstawić swoje problemy duchowe, emocjonalne czy rodzinne. Oczekują porady, modlitwy, wspólnego szukania rozwiązań. Ich historie życiowe często naznaczone są cierpieniem. Nie rozumiem jeszcze całego kontekstu tych problemów, bo są związane z ich tradycyjnymi wierzeniami, ale bardzo mnie poruszają. Długo noszę je w sercu i polecam w modlitwie. Coraz bardziej zakorzeniam się tutaj i moje serce bije mocniej dla tej misji nie z powodu piękna okolicy, oceanu, ciepła przez okrągły rok i wiecznie zielonej dżungli, ale dzięki spotkaniom z ludźmi. Parafianie stają się coraz bliżsi memu sercu, często odczuwam empatię dla nich i ich doświadczeń.

Bardzo mnie zbliżyło do ludzi towarzyszenie różnym małym grupom funkcjonującym w ramach naszej wspólnoty parafialnej. Lektorzy, Rycerze Niepokalanej, Wspólnota św. Marty, odnowa charyzmatyczna, chóry, ministranci, legionerki, katechiści, CVAV (dzieci)... Dla niektórych z nich jestem kapłanem, z innymi w mniejszym lub większym stopniu współpracuję. Właśnie poprzez regularne spotkania poznaję i żyję z ludźmi. Oczywiście są to również idealne warunki do formacji duchowej i ewangelizacji członków tych wspólnot. Spotkania we wspólnotach sprawiają, że ich uczestnicy coraz lepiej rozumieją się między sobą i potrafią sami zorganizować swoją działalność. Gdy pewnego dnia prowadziłem rekolekcje dla młodzieży i dzieci z naszej parafii, byłem pełen podziwu dla nich. Każdy przyniósł z domu coś do zjedzenia. Nie było problemu zorganizowania kuchni na miejscu i wszyscy najedli się do syta.

Niedawno wyjechałem z 12 lektorami na trzydniowe rekolekcje do Akok, wioski w sąsiedniej parafii, 65 km od Cocobeach. Mieliśmy do dyspozycji mały domek, kaplicę, wychodek i strumyk jako kabinę kąpielową. Mieliśmy wspólnie

modlitwy, celebracje liturgiczne i medytacje nad Słowem Bożym, wspólną kuchnię i rekreację. Odkrywaliśmy dary, jakie każdy z nas posiada. To wszystko nas formowało, zostawiało ślad w sercach uczestników. Naturalnie pojawiły się też problemy: Maité, jeden z lektorów, od pierwszego dnia zmagał się z malarią, a ja z kolei z *furu* – niewidocznymi muszkami, które gryzą. Chyba z powodu ugryzień złapałem *dengę* – chorobę wirusową, która tydzień później bardzo mnie wymęczyła. Rekolekcje były jednak silnym doświadczeniem tworzenia się wspólnoty i otwierania się jednych na drugich. Troska o chorych była też przeżyciem integrującym młodzież. Pod koniec wszyscy z żalem wyjeżdżali do domów. Swoją drogą, oprócz muszek *furu*, przyroda jest przepiękna. Każdego ranka i popołudnia mogłem obserwować przelot około stu papug *zako*, które leciały na żerowisko lub na nocleg. Słuchałem też przepięknego koncertu innych ptaków, chociaż nie jestem do końca pewien, czy to rzeczywiście te ptaki śpiewały, czy też papugi naśladowały ich głosy.

Wioski nad rzeką

Oprócz posługiwania w kościele parafialnym w Cocobeach i 12 kaplicach w wioskach leżących przy głównej drodze (najdalsza oddalona jest o 52 km od Cocobeach), dojeżdżamy – a raczej dopływamy łodzią – do wiosek położonych nad rzekami. W dawnych czasach, gdy jeszcze nie było dróg, wioski i pierwsze misje zakładane były nad rzekami, a środkami transportu były pirogi i stateczki. Gdy ruszyła budowa dróg, ludzie powoli zaczęli opuszczać dotychczasowe wioski, zagubione gdzieś w środku puszczy, i przenosili się do osad przy drogach. Powodem były względy praktyczne. To drogi umożliwiały szybkie przemieszczanie się i dostęp do tego wszystkiego, co ułatwia życie i daje perspektywę rozwoju: do szkoły, szpitala, sklepu czy pracy. Z tego powodu wiele wiosek nad rzekami zniknęło. Gdy opuścił je ostatni mieszkaniec, puszcza szybko zacierała jakiegokolwiek ślady bytności ludzi na tym terenie. W naszej parafii jest podobnie. Nie ma już kilku wiosek, które istniały jeszcze 10 lat temu. Inne jednak nadal są i chyba tak szybko nie znikną z mapy Gabonu. Zamieszkują je rybacy i myśliwi. Na miejscu są rzeka i puszcza, które dają im środki do życia. Tylko od czasu do czasu ktoś z rodziny wypływa np. do Cocobeach, by sprzedać to, co złowili lub upolowali. No i oczywiście dzieci muszą wyjechać do wujków lub cioć, by mieszkając u nich w jakimś „wielkim mieście”, uczęszczać do szkoły.

W końcu i dla mnie nadszedł czas, by wypłynąć do wiosek, do których nie da się dotrzeć inaczej niż drogą wodną. Nareszcie! Cieszyłem się na ten wyjazd z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że zobaczę las tropikalny, a po drugie – bo zawsze lubiłem wyjeżdżać do wiosek oddalonych od misji i trudno dostępnych. Trzeba, żeby i tam Dobra Nowina dotarła i przemieniała życie mieszkańców. Pracując z ludźmi, można obudzić w nich nadzieję na lepsze jutro.

Nie jeździmy często z posługą kapłańską do wiosek nad wodą. Jest to długa i skomplikowana wyprawa. Najpierw trzeba przygotować sprzęt: łódź, silnik do łodzi, przyczepę do transportu łodzi (by ją zwodować), paliwo, itp. Następnie trzeba przewidzieć i spakować to, co będzie potrzebne, by

przez kilka dni tam żyć i pracować. Oczywiście nigdy nie plynie się samemu: musi być mechanik do obsługi silnika (silnik jest już leciwy i w każdym momencie może się zepsuć) oraz ktoś z parafii jako tłumacz na język *fang*, bo w tych wioskach znajomość języka francuskiego jest często niewystarczająca. Zawsze też towarzyszą nam jacyś mieszkańcy odwiedzanych wiosek, którzy chcą wrócić do siebie albo w powrotnej drodze wyjechać do „miasta” na zakupy... Przyjazd kapłana jest dla mieszkańców wiosek wielkim wydarzeniem, gdyż rzadko jakiś „znamienity gość” do nich zagląda.



na przystani w Aboun

Muszę wyznaczyć prawdę – na tę chwilę czekałem latami. Kocham przyrodę, naturę, a zwłaszcza tę nad wodą. Moją ulubioną formą spędzania wakacji w Polsce są spływy kajakowe. Gdy jeszcze byłem w Republice Środkowoafrykańskiej, dowiedziałem się, że istnieją wioski, do których można dotrzeć tylko rzeką. Misjonarze z diecezji tarnowskiej nieraz zapraszali mnie, by tam z nimi popłynąć, bo te wioski znajdowały się na terenie ich parafii. Jednak jakoś nigdy nie udało mi się znaleźć czasu, by odpowiedzieć na te zaproszenia. I w końcu przyszła pora, aby w Gabonie zrealizować moje marzenie.

Na przygotowanie wyprawy nie miałem dużo czasu. Od kilku tygodni mieszkalem w Melen, gdzie zastępowałem współbrata, który wyjechał do Polski, by zaopiekować się swoją Mamą, mającą poważne powikłania związane z covidem. W niedzielę 4 lipca byłem zaproszony do parafii św. Tomasza Apostoła w Ntoun, by wygłosić kazanie odpustowe, a już w poniedziałek rano wypływalismy. Kilka tygodni wcześniej trzeba było wysłać powiadomienia, że przybędziemy. Musieliśmy powiadomić policję i żandarmerię, gdyż mieliśmy poruszać się rzeką, która stanowi granicę z Gwineą Równikową. Umówiliśmy się też z Pascalem, który sam jeden miał pełnić rolę sternika, przewodnika i mechanika, oraz z Rostandem, który miał dbać o wszystko, co dotyczy relacji z ludźmi, do których płyniemy.

W poniedziałek 5 lipca pakujemy się sprawnie, przygotowujemy łódź i jedziemy nad brzeg oceanu, by ją zwodować. Jedzie z nami również pięciu postulantów – młodych chłopaków, którzy przygotowują się do życia zakonnego.

Będą nieocenieni, jeśli chodzi o animację Mszy świętej czy wieczornej rekreacji przy ognisku. Po sprawnym wodowaniu, nie tracąc czasu, wypływamy.

Boutika

Dosyć szybko wpływamy do ujścia rzeki Rio Muni, mijamy Cocobeach oraz wioskę rybaków nigeryjskich i po niecałej pół godzinie dopływamy do Boutika. Wioska ta jest położona niedaleko Cocobeach, ale drogi lądowej nie ma, można tu dotrzeć tylko pirogą. Jest to jedna z pierwszych misji w Gabonie. Kiedyś było tu nawet seminarium. O długiej historii świadczą ruiny dawnych budynków i cmentarz. Misja została porzucona i aktualnie w okolicy znajduje się tylko kilka domów, w których mieszkają rybacy. Mielśmy tam odprawić Mszę świętą i popłynąć dalej. Jednak mężczyzna, który nas przyjął, poinformował nas, że ludzie są na tradycyjnych ceremoniach żałobnych – żegnają kobietę, która utopiła się, łowiąc ryby, a jej ciało dopiero po tygodniu odnaleziono. Po krótkiej pogawędce wyruszyliśmy więc dalej.

Ekorodo

Szerokim ujściem Rio Muni kierujemy się w górę rzeki na wschód. Ponieważ jest to rzeka graniczna, po lewej stronie widzimy cały czas Gwineę Równikową, a po prawej Gabon. Dosyć szybko mijamy Kogo – miasteczko wielkości Cocobeach, w Gwinei Równikowej. Ujście jest szerokie (2-4 km), co chwilę mijamy pirogi rybaków, transportujące ludzi lub towary. Większość łodzi poruszana jest wiosłami, nieliczne mają silniki. Pascal, sterując łodzią, musi uważać na wiele



Ekorodo – z nestorem rodu Antoine'em

niebezpieczeństw: fale morskie, które wdzierają się daleko w ujście rzeki, sieci rybaków, pływające kłody drzew czy chybotliwe pirogi (nasz silnik jest mocny i tworzy dosyć nieprzyjemne dla innych łodzi fale). Są też liczne mielizny, które z powodu pływów oceanu często zmieniają miejsce. Moment podróży musi być również właściwie wybrany, aby płynąć w tym samym kierunku, co pływy oceanu. Zmniejsza to zużycie paliwa i przyspiesza poruszanie się. Pływy oceanu są odczuwalne wszędzie, nawet w Aboun, które znajduje

się 26 metrów nad poziomem morza. W pewnym momencie dopływamy do miejsca, gdzie rzeka Noya wpada do Rio Muni – jest to koniec ujścia i od tej pory płyniemy zwyczajną, aczkolwiek cały czas szeroką (jak Wisła czy Odra) rzeką.

Oczywiście chłonę piękne widoki: zarośla namorzynowe, gdzie indziej papirusopodobne, ujścia mniejszych rzek, zatoczki, a nad tym wszystkim dominująca puszcza tropikalna. Po kilkudziesięciu kilometrach dopływamy do naszego celu – Ekorodo. Widać, że mieszkańcy czekali na nas. Droga z przystani do wioski jest starannie wykoszona, brama wjazdowa zrobiona z liści palmy, kaplica przyozdobiona, pokoje i posiłki super przygotowane. No i przede wszystkim mieszkańcy okazują radość z powodu naszego przybycia: śpiewy, tańce, powitania...

Powoli poznaję ludzi i historię osady. Żyje tu tylko jedna rodzina. Nestor rodu – Antoine, który ma około stu lat, chodzi i siedzi z trudnością, a na dodatek niecały rok temu stracił wzrok. Cała rodzina troskliwie się nim opiekuje. Pozostali mieszkańcy Ekorodo to jego dzieci i wnuki z rodzinami. Razem prawie 30 osób. Osada jest zbudowana wokół przestronnego placu: po dwóch stronach są budynki mieszkalne i gospodarcze, a po dwóch pozostałych stronach znajdują się naprzeciwko siebie kaplica katolicka i... świątynia Bwiti. Kaplica i świątynia – tak samo będzie w pozostałych wioskach – są odwiedzane przez tych samych ludzi. Ewidencja jest problem...

Mieszkańcy Ekorodo uważają się za Gwinejczyków. Wielu z nich tam się urodziło, zostało ochrzczonych. Aktualnie wszystkie dzieci z wioski uczą się w Gwinei, a nie w Gabonie. Ponieważ już nastał okres wakacyjny, niektóre z nich powróciły do wioski i okazuje się, że nie rozumieją ani słowa po francusku. Mówią po hiszpańsku i oczywiście w języku fang. Ludzie żyją tu z rybołówstwa i polowania. Jeden z mężczyzn, Marcel, mówi mi, że ma około 200 pułapek założonych w lesie, które musi codziennie obejść. I rzeczywiście nazajutrz rano przyniósł szczonego palmowego, który wpadł w jedną z pułapek. Podarował nam go i w następnej wiosce mieliśmy przepyszne pieczyście... Ja jednak zdecydowanie bardziej wolę ryby, których jest tu pełno, różnego gatunku i na różne sposoby przygotowywane. No i krewetki rzeczne – już dawno ich nie jadłem.

Przyszłość tej osady jest niepewna. Istnieje, bo Antoine nie chce się nigdzie przenosić. Wydaje mi się, że dzieci są tam przede wszystkim ze względu na niego. Jednak gdy pewnego dnia go zabraknie, nie wiadomo, czy tam pozostaną. A może wybiorą przeprowadzkę do miasta albo wioski (oczywiście po stronie Gwinei Równikowej)? Myślę, że opuszczają osadę, chociaż Patricia, która skorzystała z okazji, by dostać się do Cocobeach, i towarzyszyła nam w dalszej części wyprawy, uważa, że ktoś na pewno pozostanie na miejscu.

Aboun

We wtorek Pascal wyznaczył godzinę wypłynięcia na 11 przed południem – wtedy będą korzystne dla nas pływy morza. Po śniadaniu, ostatnich rozmowach i pamiątkowych zdjęciach, wszyscy mieszkańcy wioski, oprócz seniora rodu Antoine'a, schodzą z nami do przystani i przy akompania-

mentem śmiechu, śpiewu i ostatnich pożegnań wypływamy na rzekę. Wracamy w kierunku ujścia. Niestety, dosyć szybko zaczyna porządnie mżyć. Nie ma gdzie przycumować, bo wszędzie rosną zarośla namorzynowe, a nawet jakby udało się przybić do brzegu, to niewiele by to dało, bo gdzie mielibyśmy się schować? Więc płyniemy dalej, każdy stara się, jak może, chronić od wiatru, zimna i deszczu. Po pewnym czasie opuszczamy Rio Muni i wpływamy w jej lewy dopływ Noya.



To ta rzeka użyczyła nazwy naszemu województwu. Noya jest węższą rzeką niż Rio Muni, o wiele więcej meandruje i pojawiają się na niej wyspy.

Po dwóch godzinach dopływamy do Aboun. Odgłos silnika naszej łódki musiał wystarczając wcześniej powiadomić mieszkańców o naszej wizycie, bo czekali już na nas przy brzegu. Witają nas radośnie ze śpiewem i ciekawością. Byliśmy zmuszeni do wyczynów gimnastycznych, by wdrapać się do wioski po stromej, błotnistej i rozmoczonej skarpie nabrzeża. Jest to większa wioska niż Ekorodo, choć lata świetności ma już za sobą. Kiedyś dochodziła tu droga zrobiona przez przedsiębiorstwo wycinające drzewa. Przemysł drzewny stanowił podstawę życia ekonomicznego tubylczej ludności. Jest to chyba jedyna wioska położona nad rzeką, która ma jakąś szansę istnieć jeszcze długie lata. Również z punktu widzenia duszpasterskiego otwierają się pewne szersze perspektywy. Widać w ludziach potrzebę większego zaangażowania się w życie wiary. Chcą mieć katechistę, który by animował wspólnotę. Wyczuwam również pragnienie zdystansowania się do wierzeń Bwiti. W środę rano miałem wiele rozmów indywidualnych z osobami, które tego chciały. Wiele cierpień jest spowodowanych obecnością w ich życiu czarnej magii. Może stąd bierze się zwrot w kierunku wiary chrześcijańskiej jako tej, która może ich z tych złych wpływów wyzwolić? I dlatego też bardzo zależało im, by poświęcić wszystkie domy, aby Boży duch tam panował. Nie żałowałem więc wody święconej.

Daniel – szef wioski, Rodrigue – być może przyszły katechista, Suzi – studentka z Bata, animatorka tańców, nieśmiała i chorowita mała Anne Marie, Doria, Jean de Dieu i inni... Ich twarze zapamiętam na długo i będę się za nich modlił, by otwierali się na Ducha Świętego, który przynosi wyzwolenie, pokój i radość... Prosił mnie, bym przyjeżdżał częściej i na dłużej. I ja mam takie pragnienie.

„Poślij mnie, dokąd zechcesz...”

W środę tuż przed 13-tą dopływamy do Messaye. Jest to miejscowość mniej więcej w połowie drogi między Aboun i Cocobeach. Witają nas... trzy osoby. A patrząc po budynkach (dobrze utrzymanych, jak cała osada), to mogłoby tu spokojnie mieszkać ponad sto osób. Wioska, zbudowana na terenie porzuconego tartaku, powoli wymiera. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Jak już wspomniałem, wiele wiosek nad tą rzeką zniknęło i żadnych śladów po nich nie zostało. To, co wyróżnia Messaye, to wyjątkowo zadbane świątynia Bwiti, a atmosferę tego wierzenia aż czuć w powietrzu. Tu się tym naprawdę żyje. Zresztą podejrzewam, że jedna z tych trzech osób, Frédéric, był inicjowany w Bwiti lub „leczony” przez Augustina, dziadka, który w latach siedemdziesiątych założył tę wioskę i pełni rolę znachora i szamana. Ale to tylko moje przypuszczenia. Na Mszy świętej było nas w końcu trochę więcej, bo dopłynęła jeszcze czwarta osoba wracająca z zakupów w Gwinei, a ludzie z Aboun wzięli swoją pirogę i dołączyli do nas, by robić atmosferę i tłum, a także pomóc w kuchni.

W czwartek rano dopływamy do domu pana Dominika. Kiedy przeszedł na emeryturę, przeprowadził się z Cocobeach na ziemię odziedziczoną po dziadkach. Przepiękne miejsce, usytuowane na wysokiej, kamienistej skarpie – idealne na starość. Niestety, dotrzeć tu można wyłącznie drogą wodną. Odprawiamy kameralną Mszę świętą, a po niej zostajemy na mały poczęstunek i rozmowę. Później odpływamy i na południe jesteśmy już na misji w Cocobeach.

Odwiedzając te wioski, cały czas miałem przed oczyma relację św. Franciszka Ksawerego z jego wyprawy do Indii: „...Odwiedziliśmy wsie zamieszkałe przez chrześcijan, którzy parę lat temu przyjęli wiarę. Miejscowi chrześcijanie z powodu braku kapłanów wiedzą tylko to, że zostali ochrzczeni. Nie ma tu kapłana, który by odprawiał dla nich Mszę świętą, ani też nikogo, kto by ich uczył pacierza oraz przykazań Bożych. W tych krajach bardzo wielu nie jest chrześcijanami tylko dlatego, że nie ma nikogo, kto by wśród nich apostołował. Często wspominam, jak to dawniej, na uczelniach europejskich, a szczególnie na Sorbonie, wyszedłszy z siebie, krzychałem do tych, którzy mają więcej wiedzy niż miłości, i nawoływałem ich tymi słowami: O jak wiele dusz z waszej winy traci niebo i pogrąża się w otchłań piekła!

Obyż to oni tak się przykładali do apostołstwa, jak pilni są do nauki, by mogli zdać Bogu rachunek z powierzonych im talentów wiedzy. O gdybyż ta myśl mogła ich poruszyć; oby odbyli ćwiczenia duchowne i zechcieli posłuchać tego, co by im Pan powiedział w głębi ich serca, i porzuciliby swoje pożądania i sprawy ziemskie. Byliby wtedy gotowi na wezwanie Pańskie i wołali do Niego: Oto jestem, co mam czynić, Panie? Poślij mnie, dokąd zechcesz, nawet i do Indii”.

Sytuacja chrześcijan, których odwiedziłem, odpowiada tym z Indii, o których pisze święty. Dlatego mówię: „Oto jestem, co mam czynić, Panie? Poślij mnie, dokąd zechcesz, nawet i do Gabonu, nad rzekę”.

Na pewno jeszcze nie raz będę pisał o moich doświadczeniach pastoralnych, gdyż to właśnie duszpasterstwo jest głównym powodem mego bycia tutaj.

Pozdrawiam serdecznie. Niech Pan obdarzy Was pokojem.

br. Piotrek



Barwy Kościoła w Afryce



Z br. **Tomaszem Świata** misjonarzem kapucynem, proboszczem parafii Bocaranga w Republice Środkowoafrykańskiej rozmawia **Bogdan Wiśniewski**.

Wywiad był emitowany na antenie Radia Głos oraz publikowany w „Informatorze Pelplińskim”.

Bogdan Wiśniewski – *Chciałbym, abyśmy porozmawiali o specyfice Kościoła w Afryce, o jego kolorycie. Zaczniemy od sakramentów, które w całym Kościele powszechnym są takie same, ale różnice w ich sprawowaniu zapewne znajdziemy.*

br. Tomasz Świata – Zaczę od tego, że misjonarz to ktoś, kto został posłany, aby sprawować sakramenty tam, gdzie brakuje szafarzy sakramentów. To jest nasze najważniejsze zadanie, oprócz głoszenia Słowa Bożego. W tym zakresie nikt nas nie zastąpi. Pierwszym sakramentem, bramą wszystkich pozostałym, jest chrzest święty. Poświęcamy mu najwięcej uwagi, od niego zaczyna się budowanie Kościoła. Ważne jest przygotowanie do tego sakramentu. W Polsce

ko, które ma co najmniej osiem lat – rozpoczyna proces nawracania, zbliżania się do Jezusa, proces formacyjny, który trwa trzy, cztery lata. Do chrztu przystępują jako jedenasto, dwunastolatki, a więc już jako osoby w miarę dojrzałe, świadome i odpowiedzialne. Ponieważ tych grup przygotowujących się do chrztu jest wiele, a misjonarzy mało, za formację katechumenów odpowiadają katechiści, wcześniej przygotowani w szkołach dla katechistów. Oczywiście są wspomagani przez misjonarzy, a także przez specjalne podrećniki. Zdarza się, że do chrztu przystępują także osoby dorosłe, które są przygotowywane oddzielnie, znacznie krócej: rok lub dwa lata. Są to ci wszyscy, którzy wcześniej nie podjęli decyzji wejścia do wspólnoty Kościoła, którym życie się tak układało, że dopiero w wieku dojrzałym chcą spotkać się z Jezusem w sakramencie chrztu świętego.

Chrzest osoby dorosłej, to zapewne wielka radość dla misjonarza?

Oczywiście, że tak. Zdarza się, że osoby starsze chcą być ochrzczone. Wśród katechumenów zdarzają się także protestanci wielu denominacji: baptyści, luteranie, ewangelicy. Jestem szczególnie czuły w takich sytuacjach. Nigdy nie namawiamy protestantów, aby przyjęli wiarę katolicką. Żyjemy w Bocaranga w społeczności wieloreligijnej, wielokulturowej. Bardzo dbamy o to, aby relacje między katolikami a protestantami, a także i muzułmanami były dobre. Oczywiście nie odmawiamy tym, którzy z różnych względów chcą przystąpić do wspólnoty Kościoła katolickiego. Są wśród nich m.in. kobiety, które wychodząc za mąż, przyjmują religię swojego męża. Bywa też i odwrotnie: kiedy katoliczka, wychodząc za mąż za protestanta, przyjmuje jego wiarę. W Afryce nie ma równouprawnienia. Kobieta nie może o wielu sprawach decydować. W tej sytuacji nie można mówić o zdradzie Kościoła, czy tym bardziej apostazji. Dla tych, którzy przychodzą do nas z kościołów protestanckich też jest katecheza, chociaż chrzest święty przyjęty w tych kościołach jest ważny. Wszak wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Trzeba jednak wykazać te różnice, które są istotne dla Kościoła rzymskokatolickiego.

Wspomniał brat o trwającym kilka lat przygotowaniu do sakramentu chrztu świętego. Proszę scharakteryzować poszczególne etapy tej przedchrześcijańskiej formacji.

Pierwszy rok przeznaczony jest na naukę modlitwy, drugi na studiowanie Pisma Świętego oraz przekazanie podstawowych informacji o Kościele, zaś rok trzeci dotyczy sakramentów, w tym także sakramentu Eucharystii. Trzeba zaznaczyć, że w afrykańskiej rzeczywistości, jest tak, że równocześnie

katechumeni są chrzczeni i przystępują do pierwszej komunii świętej. Rzadko się zdarza, że rodzice – już o utwierdzonej i bardzo dojrzałej wiedzy – przynoszą do chrztu świętego swoje nowo narodzone dzieci. Dodam, że corocznie udzielamy w naszej dość dużej parafii ok. 500 chrztów świętych.



Taniec liturgiczny podczas Mszy św. w Mbaibere

Chrzest święty i Eucharystia – dwa sakramenty w tym samym czasie to w polskiej rzeczywistości sytuacja rzadko spotykana.

Trzeba zaznaczyć, że powoduje to nasze duszpasterskie dylematy. Czasami rozłączamy przystąpienie do tych dwóch sakramentów, aby nie został przyćmiony sakrament Eucharystii, w czasie którego przyjmujemy do serca samego Boga. To jest niezwykle ważny moment w życiu chrześcijanina.

Wiem, że uroczystość przyjmowania tych sakramentów ma swój koloryt.

Kiedy młodzi ludzie są przyjmowani do wspólnoty Kościoła przez chrzest święty, jest okazja do wielkiego świętowania. To dla nich i ich rodzin powód do wielkiej radości, którą wyrażają tańcząc, śpiewając, wznosząc okrzyki. Tę nadzwyczajność chwili podkreślają także strojem. Otóż pod koniec liturgii chrzcielnej każdy otrzymuje krzyżyk jako znak chrześcijanina. Potem wychodzą do zakrystii lub przed kościół i tam przebierają się w biały strój. W tym czasie wierni śpiewają radosne pieśni. Nowo ochrzczeni, cali ubrani na białe, są procesyjnie wprowadzani do świątyni. Jest to widok bardzo wzruszający. Czarne twarze i czarne ręce kontrastujące z białą ubioru sprawiają dodatkowe, niezatarte wrażenie. Trzeba też powiedzieć, że niektórzy rodzice zapożyczają się, aby uszyć swoim dzieciom strój, który nie jest tani. Noszą go potem nie tylko na czas Eucharystii, ale na co dzień, póki z niego nie wyrosną. Ten biały strój traktują jako znaczący wyróżnik. Są dumni, że mają prawo go nosić. To jest bardzo wyraziste, wizualne, także efektowne. To jeden z kolorytów Kościoła w Afryce.

Mówił brat, że nowo ochrzczeni są niezwykle dumni także z krzyżyków otrzymywanych w czasie liturgii chrztu świętego.

Tak. Do tego nawet stopnia, że niektórzy chcieliby mieć takie duże krzyże, jakie widzą na piersiach misjonarzy. Noszą te swoje krzyżyki z dumą, bo to jest znak ich pełnoprawnej przynależności do wspólnoty Kościoła. Są wierni temu znakowi, nie mają poczucia wstydu. Te krzyżyki wyróżniają ich od katechumenów, którzy mają prawo nosić jedynie medaliki.

Trzy lata to dość długi okres formacji, a mówił brat, że może trwać i dłużej. Od czego to zależy?

Każdy z trzech etapów procesu formacyjnego kończy się egzaminem. Szkołą katechiści, ale egzaminują misjonarze. Trzeba sprawdzić, na jakim etapie są katechumeni, jaka jest ich wiedza religijna. Czy potrafią porządnie się przeżegnać prawą ręką. Czy znają podstawowe modlitwy i prawdy wiary? Oczywiście, miłosierdzie egzaminatorów i chęć egzaminowanych też są brane pod uwagę, ale nie ma zbytniego pobbłażania, szczególnie jeżeli chodzi o dzieci. Ci, którzy nie zdają egzaminu, muszą powtórzyć dany etap. Formacja intelektualna i duchowa jest niezwykle ważna. Dlatego też z katechumenami trzeciego etapu mam co jakiś czas zajęcia. Mam wtedy sposobność poznać kandydatów do przystąpienia do pierwszego sakramentu. Poznają stan ich wiedzy religijnej. Co dwa tygodnie sprawuję tylko dla tej grupy ka-



Na przerwie w szkole w Herba

chrzci się – z zasady – małe dzieci, niemowlaki. W Afryce jest inaczej. W zdecydowanej większości do chrztu przystępują katechumeni, osoby na tyle dojrzałe, że same decydują o przyjęciu chrztu, czyli wstąpieniu do wspólnoty Kościoła. Katechumeni to nie tylko osoby dorosłe, ale także dzieci i młodzież. Są też tacy, którzy uczestniczą w życiu parafii, chodzą do kościoła, ale nie są jeszcze gotowi, aby przyjąć chrzest. Po podjęciu decyzji katechumen – najczęściej dzie-



Strój na niedzielę

techumenów Mszę św., także i po to, aby przygotować ich do właściwego przeżywania Eucharystii. Jako pełnoprawni już członkowie Kościoła muszą wiedzieć, jak się zachować w czasie liturgii, jak w niej uczestniczyć, jak reagować i odpowiadać na słowa kapłana.



„Światło Chrystusa” w rękach nowo ochrzczonych w Dibono

Po tych dwóch sakramentach przychodzi czas na bierzmowanie.

Różne są praktyki duszpasterskie, jeżeli chodzi o okres między przyjęciem chrztu świętego a bierzmowaniem. Czasami jest oto rok, czasami dłużej. Chodzi o to, aby nowo ochrzczony trochę pożył we wspólnocie, pokazał owoce swojej wiary, swoje zaangażowanie. Żeby widać było go na każdej niedzielnej Mszy św. Wszak bierzmowanie to sakrament chrześcijańskiej dojrzałości, Aby się do niego przygotować, należy także uczestniczyć w katechezach, których celem jest pogłębienie zdobytej wcześniej wiedzy.

Wróćmy jeszcze do sakramentu Eucharystii, szczególnie zaś do niedzielnej Mszy św.

Niedziela to jest wielkie święto, które w sposób szczególny jest przeżywane przez Afrykańczyków. Przez sześć dni w tygodniu moi parafianie chodzą do pracy, najczęściej w polu. Są ubrani – można powiedzieć – prymitywnie. Za to w niedzielę zmieniają się nie do poznania. Mają niedzielne ubrania, niedzielne buty, kobiety dodatkowo niedzielne fryzury. Jeżeli w niedzielny poranek jedzie się przez wioski, to widać na progu każdego domu ludzi szorujących jakimś kamieniem czy pumeksem swoje pięty. Ludzie się myją, a potem kremują całe swoje ciało. Myją się, bo przecież za chwilę idą do kościoła. Można powiedzieć, że tak umyć, wykreować, elegancko ubrać wyglądają po prostu ślicznie. Przed wejściem do kościoła czyszczą sobie jeszcze buty, z kurzu lub – w porze deszczowej – z błota. To zewnętrzne przygotowanie do niedzielnej liturgii jest niezwykle ważne. Jest wyrazem szacunku...

... którego brakuje w wielu polskich kościołach; ludzie często pojawiają się jakby przyszli na plażę, dyskotekę czy jogging...

W sytuacji, kiedy moi wierni przez wiele godzin przygotowywali się do niedzielnej Eucharystii, nie może ona trwać krótko. Musi być celebrowana powoli, długo, bez żadnego

pośpiechu. Kazanie zbyt krótkie mogłoby być przyjęte jako wyraz lekceważenia. Samo procesyjne wejście do kościoła też trwa i trwa, bywa że i osiem minut. Ministranci idą tanczącym krokiem: dwa do przodu, trzy do tyłu. Dalej tancerki. Potem ja – w habicie, albie, ornacie, spocony z powodu grzejącego słońca, pot spływa mi po plecach. Idę do ołtarza, okadzę go. W tym czasie wierni śpiewają. Ja skończyłem okadzać a oni śpiewają dalej. Nie ma mowy o żadnym przerywaniu tego radosnego śpiewu, a później i tańca. Ludzie chcą śpiewać, tańczyć, radośnie przeżywać Mszę świętą. Nie są zniecierpliwieni, Nie znają pośpiechu. W tej sytuacji niedzielna Eucharystia trwa do dwóch godzin. Jeżeli jest połączona z chrztem lub jest jakaś inna szczególna okazja może trwać ponad trzy godziny. Obowiązkowo Msza św. musi być ekspresyjna – dużo śpiewu, cały kościół faluje od ruszających się wiernych. (...) Afrykańczycy mają w sobie wrodzony rytm, już w łonie matki tańczą. Widać to nie tylko w kościele. Wieczorami – szczególnie, gdy jest pełnia – zbierają się przy ognisku. Śpiewają i tańczą. Mamy mają swoje dzieci w chustach na plecach. Nie zostawiły ich w domu. I te dzieci – często na wpół śpiące – siłą rzeczy także tańczą ze swoimi mami. Tańczą też mamy w stanie błogosławionym, a ich jeszcze nienarodzone dzieci czynią to również. Tańczą w łonach swoich matek. To jest piękne. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego...

Właśnie. Przypomnijmy słowa psalmisty: „Służcie Panu z weselem. Wśród okrzyków radości stawajcie przed nim!”

Teraz rozumiem psalmy, którymi modlimy się od lat. Jest w nich motyw tańczącego przed Arką Dawida. Taniec nie jest obcy liturgii. Dla Afrykańczyków jest on formą religijnej ekspresji. Jest wyrazem ich pobożności, a nawet wiary. Jest przejawem ich relacji z Panem Bogiem. My, Europejczycy, potrzebujemy raczej wyciszenia, aby spotkać się z Panem Bogiem, mieszkańcy Afryki potrzebują śpiewu, tańca, ekspresji.



Procesja maryjna w parafii Bocaranga, RSA



Od niewolnictwa do eksploatacji, czyli z deszczu pod rynnę

Publikujemy fragment ostatnio wydanej nowej książki pt. „EKG serca Afryki” autorstwa br. **Roberta Wiczorka**.

W muzeum Da ti a Kotara mieszczącym się przy klasztorze braci kapucynów w Bouar w Republice Środkowoafrykańskiej zachowały się łańcuchy, metalowe obręcze na szyje oraz inne formy brzemion, którymi łowcy niewolników obarczali pojmane ofiary. Sznurowy i sieci, tak bardzo przydatne w codziennym życiu Afrykańczyka i na polowaniach, mogły niespodziewanie zwrócić się przeciwko dotychczasowym właścicielom, służąc do ich złapania i spętania.

Demografowie badający populację Afryki Centralnej mówią o wielkim wyludnieniu jako gorzkim owocu pasma nieszczęść wyniszczających te ziemie przez wieki. Jak do tego doszło, że populacja obecnego terytorium RCA oceniana w XVII wieku na 5–6 mln zredukowała się w ciągu trzech kolejnych do jednego raptem miliona? Za najpoważniejsze przyczyny uważa się trzy. Pierwsza to wielkie rodzime epidemie żółtej febry czy śpiączki, malaria i robaczycy różnego rodzaju, jak też przywleczone z Europy ospa (tylko w latach 1904–08 zmiołła ona jedną piątą populacji). Drugą były łowy na niewolników (północno-wschodnie terytorium RCA, zwane Dar Fertit, zostało całkowicie wyludnione), a trzecią – destrukcyjna okupacja i dzika eksploatacja, w pierwszych dekadach kolonizacji prowadzące do rozchwiania tradycyjnego rolnictwa, pauperyzacji i głodu wśród autochtonów, a w efekcie do ich masowego umierania.

Niewolnictwo – pretekst do kolonizacji

Europejskie mocarstwa kolonialne wstąpiły na te ziemie pod sztandarami szczytnej walki z niewolnictwem, ale we własnych zapędach kolonialnych nie widząc bynajmniej nic zdrożnego. W 1882 roku francuski wysłannik do Afryki, Pierre Savorgnan de Brazza pojawił się w Paryżu z plikiem papierów dokumentujących zawarcie w imieniu Francji przymierzy z plemionami, jakie napotkał na swej drodze. Gdy domagał się ich promulgacji, wywiązała się w parlamencie dyskusja między radykałami Georgesa Clemenceau przeciwnymi koloniom a republikanami Julesa Ferry'ego, będącymi za zdobywaniem kolonii, w czym widzieli rekompensatę dla strat po ostatnio przegranej wojnie z Prusami i podbudowanie osłabionego morale narodowego. W tym konkretnym wypadku republikanie otrzymali wsparcie od zwyczajowo opornych im rojalistów i kleryków, stąd też przeforsowali swe racje. To była jedyna w historii próba zakwestionowania racjonalności kolonialnej febrzy, która stała się normą dla części świata uważającej się za cywilizowaną

i nowoczesną. III Republika już nigdy później nie podniosła kwestii posiadania lub nie posiadania kolonii.

Pierre Savorgnan de Brazza był Włochem na służbie Francji (przyjął także francuskie obywatelstwo). Wierzył głęboko w misję cywilizacyjną, jaką ma do wykonania jego republikańska druga ojczyzna. Był przekonany, że Francja może ponieść do Afryki sztandar rozwoju i wyzwolenia z jarzma zakorzenionego tam głęboko niewolnictwa. Te nowe zdobycze proponował tubylcom spotykanym na drodze swych wypraw badawczych w głąb Czarnej Łądy.

Większość badaczy jest przekonana, że Afryka bez zewnętrznego bodźca, jakim była kolonizacja na przełomie XIX i XX wieku, nie byłaby w stanie sama z siebie wykrzesać sił zdolnych do pokonania wszechobecnej praktyki lokalnych podjazdów, wyłapywania się nawzajem i wyprzedawania w niewolę (o ludożerstwie, innym owocu tego fenomenu, nie wspominając). Specjalistami w łowach na niewolników były muzułmańskie sułtanaty, które zainstalowane wzdłuż



Niewolnicy na Zanzibarze, autor nieznany.

południowych obrzeży Sahary, przez wieki trudniły się tym procederem stanowiącym ich główne źródło dochodów. Ale również sami Afrykańczycy z głębi dżungli czynili to samo, co Arabowie i Hausa z północy, tyle że pojmani sąsiedzi byli odsyłani w dół rzeki. Lokalni łowcy niewolników z interioru Czarnej Łądy zwozili swą zdobycz na wybrzeże i tam odsprzedawali na bazarach wzdłuż Zatoki Gwinejskiej. „Hebanowe złoto” pochodziło więc też z głębi kontynentu, z dorzecza Ubangi i Kongo. W Gujanie w narzeczu zbiegłych do buszu czarnych niewolników odnajduje się słowa pochodzące z sango. My w Europie wiemy dobrze o istnieniu tego



transatlantyckiego szlaku. Od XVI wieku rozpoczął się handel niewolnikami z europejsko-amerykańskimi klientami. Nie byłoby jednak tego, gdyby wcześniej sami czarni nie łapali czarnych. Była podaż, znalazł się i popyt. Trudno z okazji nie skorzystać – uspokajali swoje sumienia biali żeglarze. Biznes wszystko usprawiedliwi, a do tego i parę zgrabnie dobranych cytatów ze Starego Testamentu... I ulegli pokusie.

Na dobre trzy wieki zawiązał się słynny trójkąt żegluga między Europą, Afryką i obiema Amerykami. Europejskie statki pręty wody Oceanu Atlantyckiego gnane podwójnymi wiatrami: pasatów i chęci zysku za wszelką cenę. Z zachodnich portów zabierały produkty europejskich manufaktur, by je odsprzedać w faktoriach na afrykańskim wybrzeżu w zamian za niewolników. Ci wywożeni byli przez białych nabywców na Antyle i do plantacji obu Ameryk. Powracające z Ameryki do Europy okręty zabierały bawełnę, cukier, kawę czy tytoń – i tak w ciągu półtorarocznej podróży zamykał się zarysowany trójkąt. Ocenia się, że z tych trzech transferów towaru najbardziej intratny był handel ludźmi.

Niewolnictwo transsaharyjskie natomiast jest mniej znane, ale równie tragiczne w skutkach, jak to z oceanicznych szlaków do obu Ameryk. Afryka centralna stała się jądrem tego procederu.



grafika pt. Niewolnicy na Zanzibarze, autor niezany.

Subsaharyjski mariaż islamu z czarnym intere-sem

„Gdybym spotkała tych handlarzy niewolnikami, którzy mnie porwali, a także tych, którzy mnie torturowali, uklękałbym przed nimi i ucałowałabym im ręce, ponieważ gdyby się to wszystko nie wydarzyło, nie byłabym teraz ani chrześcijanką, ani zakonnicą. Trochę oczywiście cierpię, ale mam tyle grzechów do wynagrodzenia, jest tak wielu Afrykańczyków do ocalenia i grzeszników do wspomnienia” – to słowa św. Bakhity (po arabsku: szczęściara), późniejszej siostry Józefiny, kanosjanki, zwanej potocznie Dobrą Czarnulką, byłej niewolnicy z Darfuru w Sudanie (+1947).

Królestwo Zande-Nzakara

Najbardziej dziś zmarginalizowany region południowego wschodu RCA, w przeciwieństwie do innych plemion żyjących w luźnych związkach klanowych, był zorganizowany w twory państwowe, z którymi musieli liczyć się muzułmanie penetrujący tamte tereny od strony Sudanu(...) Wspomniani władcy nazywani byli podobnie jak ich arabscy sąsiedzi: „sułtanami”, a ich królestwa „sułtanatami”, choć muzułmanami najczęściej nie byli.

Muzułmańscy łowcy niewolników przybywali na te tereny od początku XIX wieku. Terytorium dzisiejszego RCA było wówczas jakby oplecione od północy całym wianuszkiem państwów żyjących się łowami na niewolników. Na terytorium Sudanu były to Darfur i Kordofan, w Czadzie – Bagirmi i Wadday, w Nigerii – istniejące od wieków Bornu, a na terenie Kamerunu – sułtanaty Yola i Ngaoundere czy Rey Bouba. Arabscy przybysze znad Nilu mieli pierwotnie ochotę narzucić tubylcom z centrum Afryki swoją dominację, ale sobie szybko połamali na nich zęby. Ostatecznie weszli z władcami Zande-Nzakara w relacje partnerskie i musieli się zadowolić jedynie pozwoleniem na fundowanie swych zeriba (po arabsku: kolczaste ogrodzenie), czyli rodzaju ufortyfikowanych faktorii handlowych na obcym terytorium. W ramach tej symbiozy, w zamian za żywy towar oraz kość słoniową, Zande nabywają od Arabów broń palną, ubrania i ozdoby. Lokalni władcy wydają swych synów arabskim sąsiadom jako zakładników, a ci posyłani są do Kairu na naukę języka i handlu. Stąd też pierwsi biali eksploratorzy są zaskoczeni, widząc rezydencje sułtanów przestrzenne i luksusowo wyposażone, zaś Belg la Kethulle czuje się zaskoczony, że Rafai komunikuje się z nim w „czystym arabskim”. Gdy inny Belg, van Gèle, odwiedza sułtana Bangassou, jest przyjęty z całym ceremoniałem na wielkim placu przed okazałymi rozmiarów rezydencją władcy. Plac jest otoczony przez dwutysięczną armię wojowników zbrojnych w dzidy i tarcze. Pośrodku łopocze niebieska flaga z gwiazdą. Król przemieszcza się w otoczeniu orszaku swych córek, poprzedzony oddziałem straży przybocznej wyposażonej w broń palną. Do dworu należy harem kilkuset królewskich małżonek. Całość pozostawia wrażenie porządku, karności i respektu.

Obok transsaharyjskiego szlaku handlu niewolnikami otwiera się później nowa droga – na południowy wschód w kierunku Zanzibaru i basenu Oceanu Indyjskiego. Dzieje się to za sprawą Tippto-Tipa, arabskiego handlarza kością słoniową i niewolnikami, który w imieniu sułtana Omanu kontrolującego wybrzeże wschodnie Afryki zostaje gubernatorem całego regionu Wielkich Jezior i od strony dzisiejszego Kisangani (dawne Stanleyville) wchodzi w relacje handlowe z sułtanatami Nzakara w Uele. Wspomina o tym awanturnik Henryk Sienkiewicz w swoich Listach z Afryki relacjonujących jego wyprawę w region jeziora Tanganika.

Ekonomia tych lokalnych sułtanatów opierała się na handlu złapanymi niewolnikami i kością słoniową – pokłosa masowych polowań po wejściu czarnych w posiadanie broni palnej. Sułtan chronił ludność swego terytorium i rozkręcał lokalną koniunkturę, dając poddanym okazję do wzbogace-

nia się, ale za to terytoria sąsiednich plemion pustoszały trawione pożarami wzniecanymi przez łowców niewolników i systematycznie traciły populację. Mężczyzn sprzedawano do Egiptu lub krajów arabskich, a uprowadzone kobiety były rozdawane żołnierzom jako nagroda. Ocenia się, że w latach 1830–70 corocznie z terenów wschodnich dzisiejszej RCA uprowadzano około 15 tysięcy ludzi.



Kamienny pomnik w Stone Town na Zanzibarze upamiętniający ofiary handlu ludźmi.

Bangassou był sułtanem, któremu długi czas udało się prowadzić grę między rywalami zagrażającymi jego suwerenności. Wyrocznia wskazała mu, by przyjąć białych i nie stawiał się, bo inaczej przegra, za to przybysze z daleka pomogą mu przeciwstawić się naporowi arabskich łowców niewolników. Ponadto fama niosła, że biali tam, gdzie osiadają, zakładają szkoły dla dzieci i leczą chorych, a to podobają się władcy. Negocjując, obie strony rozmijają się jednak w swych intencjach. Podstawiane przez Belgów do podpisania papiery oddające sułtanat pod władzę Leopolda II nie mają żadnej wartości w oczach afrykańskiego władcy żyjącego w kulturze tradycji oralnej – w jego mniemaniu miał to być nie akt poddaństwa wobec Belgii, ale wyraz partnerstwa. Pozostawiona przez kapitana van Gèle'a pięcioosobowa załoga faktorii jest rozumiana jako symboliczna wymiana „podarunków”, dlatego per analogiam król posyła eksploratorowi pięciu niewolników dla przeprowadzenia jego wyprawy przez terytorium Bangassou. Pojawienie się na orbicie Belgów, później zastąpionych przez Francuzów, spowodowało odwrócenie się kierunków szlaków komercyjnych. Gdy dotąd handel niewolnikami i towarem szedł na osi północ-południe (Egipt-Zanzibar), teraz uprzywilejowano nowe relacje z białymi przybywającymi z zachodu rzeką Ubangi. Zakładany zysk okazał się jednak ambiwalentny: owszem, otrzymał wsparcie przeciw Senussiemu, sułtanowi z północy, lecz za cenę rezygnacji ze swych łowów na sąsiadów od 1904 roku. I tym samym sułtan z Bangassou stracił podstawowe źródło dotychczasowych dochodów(...)

*

Tata – ufortyfikowana siedziba Senussiego w 2006 roku została zgłoszona przez rząd RCA do UNESCO z prośbą o wpisanie jej na listę Światowego Dziedzictwa Ludzkości jako miejsce upamiętniające transsaharyjski handel niewolnikami. Jako motywację podano: „Jeśli Gore w Senegal jest miejscem ufundowanym przez Europejczyków, by wywozić niewolników do Ameryki, to tata Senoussiego świadczy o istnieniu innego wymiaru tego samego handlu czarnymi ludźmi, tyle że w kierunku Orientu”.

*

Niewolnictwo – stan umysłu

Jeśli ktoś bagatelizowałby sprawę, utrzymując, że przecież wywożeni na północ do krajów arabskich czarni niewolnicy pozostawili stosunkowo niewiele śladów po sobie w postaci mieszania się ras, więc może skala tego procederu nie była tak szeroka, jak tu się sugeruje, to spieszę wyjaśnić: po prostu mężczyźni najczęściej byli kastrowani... Potrzebowano mężczyzn do pracy, a nie reproduktorów. W tata Senussiego było specjalne miejsce do emaskulacji chłopców, bo eunuchy były najwyżej cenione na orientalnych rynkach. Niewolnikom zdarzał się lepszy los. Mężczyźni z plemienia Hausa mają bowiem sylwetkę raczej szczupłą i wątłą, więc powstał zwyczaj, by dobierać sobie jako drugorzędne żony kobiety spośród Mboum, które z natury cieszyły się mocną budową, aby przysporzyły im roślejszych potomków.

Ile wart był niewolnik? Na tyle mało, że lepiej odwrócić pytanie: za jednego konia ilu trzeba było dać niewolników? Dwunastu. Za osła ośmiu, a za krowę – od dwóch do trzech.



eksponaty w Muzeum Da ti aKotara w Bouar, RŚA

Przybycie kolonizatorów przyspieszyło upadek niewolniczych państw na południowych krańcach Sahary, ale one i tak by upadły, bo ich nieludzkie założenia podstawy pozbawiały ich prawa do dalszego bytu. Pasożytnicza gospodarka tych sułtanatów stworzonych przez łowców niewolników, oparta na rabunku sąsiadów, ewidentnie i tak

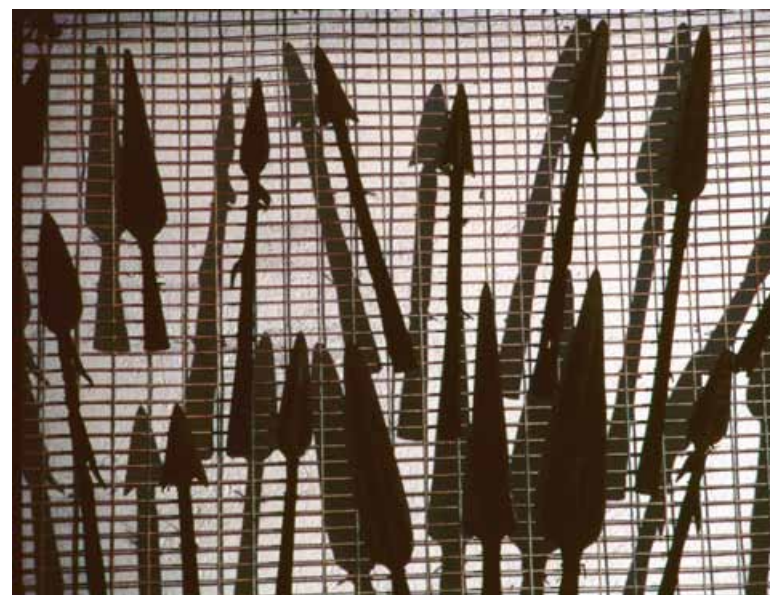
na dłuższą metę była skazana na śmierć. Podobnie jak rozwijający się w organizmie rak ostatecznie wykańcza swego nosiciela i siebie przy okazji, tak i zaistnienie takich form pseudopaństwowości było letalne w samych swych zbójcejskich założeniach. Zasoby kości słoniowej i potencjalnych niewolników musiały się po prostu szybko wyczerpać. Gdzie kraj spalony i pozbawiony ludzi do pracy w polach, tam nie ma też żywności, a to bezwartościowe pustkowia.

I trzeba to jasno podkreślić: na całym rozległym terytorium Afryki Centralnej czarni niewolnicy byli chwytni przez swoich pobratymców. Górę brali ci, którzy okazali się bardziej cwani od swych sąsiadów. Nzakara i Zande wyłapywali swych sąsiadów Banda i Kreich, Yakuma znad rzeki polowali na Mandja, zaś Hausa z Ngaoundere na zachodzie współpracowali z Gbaya, by ci za krowy i białe tuniki wydawali w niewolnicze karby swych sąsiadów, Mbum z północy. Wielu też Gbaya albo Runga czy Gula (z północnego wschodu RCA) wolało poddać się islamizacji, by w ten sposób uniknąć losu kirdi (pogardliwa nazwa nadawana przez Hausa poganom), a stając się dla muzułmanów współwyznawcami, zmienić swój status społeczny z ofiary na pana, z łownego na łowczego.

Otóż odbywający swą podróż w pierwszej połowie XIX wieku po terenach granicznych dzisiejszego Czadu i RCA szejk al-Tunsi dziwił się niezrozumiałej bierności tamtejszej czarnej populacji dającej się prawie bez oporu wyłapywać arabskim handlarzom niewolników. Porażająca była u nich niezdolność oceny powtarzających się cyklicznie od lat napadów, by zorganizować się do wspólnej samoobrony. „Bo gdy wróg napada na wioskę – pisał arabski podróżnik – porywając kobiety i dzieci, sąsiednia wioska patrzy na to obojętnym wzrokiem i nawet nie próbuje odżegnać zbliżającej się burzy. Jeśliby tylko potrafili zjednoczyć się przeciw swym agresorom, żadne państwo muzułmańskich łowców niewolników z Sudanu nie ośmieliłoby się ich zaatakować”.

Jedyną decyzją, na jaką było stać Banda czy Kreich, to oddanie pola bez walki i wycofywanie się coraz bardziej na południowy zachód. Stąd też liczne grupy Banda-Yangere żyją dzisiaj daleko na zachodzie koło Bocaranga i aż w dżungli w okolicach Berberati. Żyżne przecież, obfite w wodę i zdadne do zamieszkania ziemie na wschodzie RCA przy granicy z oboma Sudanami, stały się w ten sposób po dziś dzień domeną dzikich zwierząt. Dar Ferit, państwo Zubira sprzed półtora wieku, nie miałoby dziś poddanych.

Choć praktyka łowów na niewolników została przed dobrym wiekiem oficjalnie zniesiona pod presją sił kolonialnych, istnieją jednak wciąż żywa podskórna presja ze strony zislamizowanej populacji północnej, by animistów i chrześcijan zamieszkujących tereny na południu traktować jako gorszy sort ludzi. Była ona brutalna i całymi latami popierana przez reżim w Sudanie, cykliczna w Czadzie i w ostatnich czasach ujawniona w RCA. A w naszych czasach stała się zmorą męczącą cały pas państw Afryki subsaharyjskiej – od Gwinei przez Mali, Nigerię aż po Etiopię. Ta strefa stała się swoistym wałem demarkacyjnym oporu wobec natrętnej inwigilacji wojującego islamu. Przy czym akcja zaprowadzania rządów ISIS idzie w parze z interesami międzynarodowych koncernów naftowych.



eksponaty w Muzeum Da ti a Kotara w Bouar, RŚA

Francuski misjonarz o. Tisserand w latach 50. ubiegłego wieku pisał o pierwotnych mieszkańcach RCA jako o istotach dających „dowód ich rozbijającej pasywności. Z powodu ich tradycyjnych wierzeń, widząc swych sąsiadów łapanych w niewolę, myśleli, że widocznie duchy opiekuńcze klanów owych nieszczęśników były za słabe, natomiast ich własne, skoro nadal pozostają bezpieczni, muszą być mocne”. Oczywiście tej indukcji starczało do czasu i szybko się przekonywali, że tak nie jest, gdy przyszła pora na nich... Ale żeby nie osłabiać siły powyżej przytoczonego argumentu przez fakt, że to mówi Francuz, a więc osoba potencjalnie nieobiektywna, bo skorumpowana przez przynależność do narodu kolonialistów, warto oddać głos opinii jeszcze starszej o wiek, a odzwierciedlającej sposób postrzegania sprawy od strony islamu.

Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl

tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi na kontynencie afrykańskim w Republice Środkowoafrykańskiej i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom potrzebującym w krajach afrykańskich, w których pracują misjonarze z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

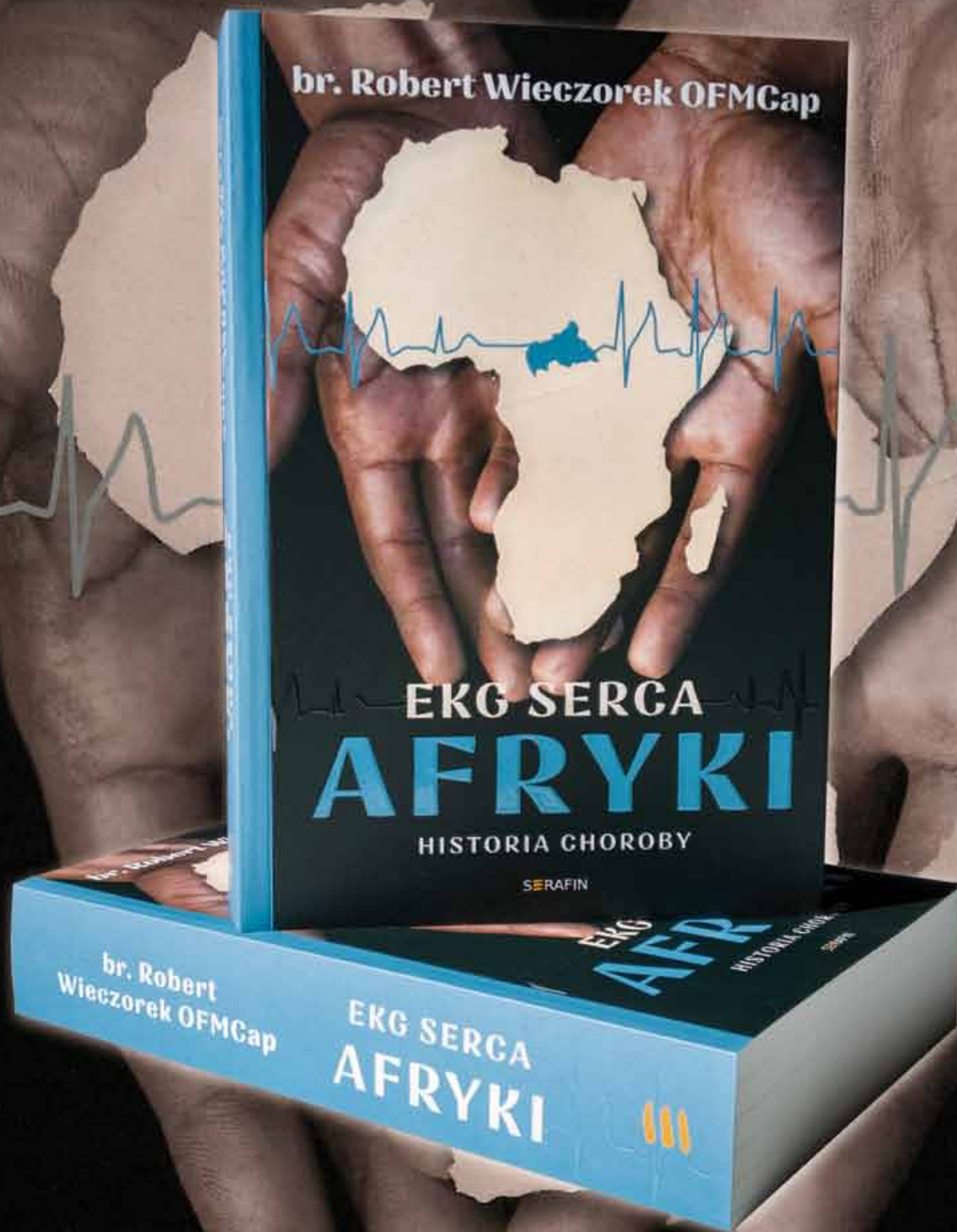
Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





Centralna Afryka jest jak stara kobieta – stwierdził genialnie pewien młody globtroter zawiedziony dziadostwem, jakie znalazł w Bangi – trzeba ją albo kochać mimo wszystko, albo porzucić. Ja wybrałem tę pierwszą opcję.

Jeśli twoja percepcja ogranicza się maksymalnie do długości newsa, to zostaw tę książkę – nie nadaje się dla ciebie. Do opowieści o Afryce trzeba się rozsiać i, jak to drzewiej bywało, dać się ponieść bajaniom:

Na tere ti wa amolenge a ngba ti ma atere ti ambakoro zo (w kręgu rodzinnego ogniska dzieci słuchają opowieści starych ludzi)...

Autor

Brat Robert Wieczorek OFM Cap – urodził się w 1966 roku w Krakowie, wychował się w Krzeszowicach. W dwudziestym roku życia wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów. W 1993 roku przyjął święcenia kapłańskie, a rok później podjął pracę na misjach w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie posługiwał ponad ćwierć wieku. Obecnie jest posłany do przetarcia szlaków dla nowej kapucyńskiej misji w Sudanie Południowym. Jest autorem książek: „Listy z Serca Afryki”, „Pęknięte Serce Afryki”, „Koptowie – staliśmy się śmieciem tego świata”.

Książka do nabycia w sklepie internetowym
sklep.kapucyni.pl

Cena: 35 zł + koszt wysyłki

Zamówienia telefoniczne pod nr:

668 532 250 lub 12 623 50 60 wew. 132